

HONORÉ DE BALZAC

Granatka


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

HONORÉ DE BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

Granatka

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Granatka jest to mały domek położony na prawym brzegu Loary, o milę mniej więcej w dół od mostu w Tours. W tym miejscu rzeka, szeroka jak jezioro, usiana jest zielonymi wysepkami i okolona skałami, na których wznosi się kilka białych kamiennych domków, otoczonych winnicami i ogrodami, gdzie najpiękniejsze owoce w świecie dojrzewają na południowych stokach. Cierpliwie żłobione przez kilka pokoleń, skaliste terasy odbijają promienie słońca i dzięki tej sztucznej temperaturze pozwalają uprawiać w otwartym polu produkty najcieplejszych klimatów. W jednym z naj płytszych zagłębień przecinających to wzgórze wznosi się ostra strzała Saint-Cyr, wioski, do której należą wszystkie te rozrzucone domki. Następnie, nieco dalej, Choisille wpada do Loary, tworząc żyzną dolinę, która przecina to zbocze. Granatka, położona w połowie tej skały, o sto kroków od kościoła, jest to jedna z owych starych siedzib, liczących po dwieście lub trzysta lat, których tyle spotyka się w Turenii. Szczelina w skale ułatwiła zrobienie dróżki, która schodzi łagodnym spadkiem do grobli. Groblą tą, wzniesioną po to, aby utrzymać Loarę w łożysku, biegnie gościniec z Paryża do Nantes. Powyżej dróżki znajduje się furta, gdzie zaczyna się kamienista ścieżka między dwiema terasami¹. Terasy te, zarosłe bluszczem i winem, tworzą niby fortyfikacje, mające powstrzymać osuwanie się ziemi. Ścieżka wyżłobiona u stóp najwyższej terasy, niemal ukryta w drzewach tej, nad którą biegnie, prowadzi do domu stromym spadkiem, odsłaniając rzekę, której tafla zwiększa się za każdym krokiem. Drożynę tę zamyka druga bramka w stylu gotyckim, sklepiona, ozdobiona skromnymi ornamentami, zrujnowana zresztą, pokryta dzikimi goździkami, bluszczem i mchem.

Te niezniszczalne rośliny stroją mury wszystkich teras, z których wydobywają się szczelinami, tworząc w każdej porze roku nowe girlandy kwiatów.

Skoro się przebędzie tę zmurszałą bramę, widzi się mały ogródek, odkradziony niejako skale przez ostatnią terasę, której stara i szerniała balustrada wznosi się nad innymi, ciesząc oko swoją murawą strojną w kilka zielonych drzew, w obfitość róż i innych kwiatów. Następnie, naprzeciw bramy, na drugim krańcu terasy, znajduje się budynek drewniany wsparty o mur sąsiedni, na wpół ukryty w jaśminach, przewiercieniu², winie i powojach³. W ogrodzie tym stoi dom o ganku pochylonym i pokrytym winem; pod gankiem znajdują się drzwi do obszernej piwnicy wydrążonej w skale. Mieszkalna część okolona jest winem i granatami zasadzonymi wprost w ziemi; stąd nazwa tej zagrody. Fasadę tworzą dwa szerokie okna, przedzielone drzwiami o bardzo sielskim charakterze, oraz trzy poddasza wyglądające z dachu niezwykle wysokiego w stosunku do niskiego parteru. Dach kryty jest łupkiem⁴. Ściany głównego budynku malowane są żółto; drzwi, okiennice, żaluzje na poddaszu są zielone.

Wchodząc, ujrzyś małą sionkę, w niej kręte schody, których struktura zmienia się na każdym zakręcie; drzewo w półzgniłe, poręcz zużyta, szerniała. Po prawej obszerna

¹terasa — płaski próg na zboczu doliny rzecznej lub nad brzegiem morza. [przypis edytorski]

²przewiercienie, wiciokrzew przewiercien (bot.) — ozdobne pnącze o różowawych kwiatach i pomarańczowych owocach. [przypis edytorski]

³powój — roślina o wijącej się łodydze i lejkowatych wonnych kwiatach, nasiona trujące; niektóre gatunki to rośliny lecznicze lub ozdobne. [przypis edytorski]

⁴łupek — rodzaj kamienia charakteryzującego się dużą łupliwością. [przypis edytorski]

Dom

jadalnia ze staroświecką boazerią, wyłożona białą kamienną posadzką; po lewej salon, podobnych rozmiarów, bez boazerii, obity żółtym papierem z zieloną obwódką. Żadna z sal nie ma sufitu; u stropu belki orzechowe, przestrzeń pomiędzy nimi wypełniona rodzajem białego tynku zmieszanego z kłakami. Na pierwszym piętrze dwa wielkie pokoje o ścianach bielonych wapnem; kamienne kominki mniej bogato rzeźbione niż na parterze. Wszystkie okna wychodzą na południe. Od północy są tylko jedne drzwi, wychodzące na winnicę. Po lewej stronie przylega do domu drewniana przybudówka, chroniona od deszczu i słońca za pomocą dachówek, rysujących na ścianach długie niebieskie linie, proste lub poprzeczne. Kuchnia pomieszczona w tej chatce łączy się wewnątrz z domem, ale posiada osobne wejście, wysokie na kilka stopni, u których stóp znajduje się głęboka studnia, nad nią zaś żuraw spowity w sabinki⁵, w rośliny wodne i wysokie trawy. Ten świeży budynek świadczy, że Granatka była niegdyś prostym domkiem przy winnicy. Właściciele przybywali z miasta, od którego dzieli ją szerokie łożysko Loary, jedynie na winobranie lub na jakąś majówkę. Ale Anglicy spadli jak szarańcza na Turenję: trzeba było dokończyć Granatkę, aby ją wynająć. Szczęściem, ta nowoczesna przybudówka ukryta jest pod pierwszymi lipami alei zasadzonej w wyrwie u stóp winnicy. Winnica, która może mieć ze dwie morgi⁶, wznosi się nad domem i to tak stromo, że trudno jest na nią się wdrapać. Pomiedzy domem a tym wzgórzem zielonym od pelzającego wina jest przestrzeń zaledwie pięciu stóp, zawsze wilgotna i zimna, fosa pełna bujnej roślinności, dokąd w czasie deszczów leczą z winnicy odpadki, użyźniające grunt ogrodów podtrzymywanych oparkanioną terasą. Budynek na tłoczenie wina przylega do domu po lewej; przykryty słomą, stanowi niejako *pendant*⁷ kuchni. Posiadłość otoczona jest murem i szpalerami⁸, winnica obsadzona drzewami owocowymi wszelkiego gatunku, słowem ani cal tego szacownego gruntu nie marnuje się. Jeżeli człowiek zaniedba jakiś jałowy kawałek skały, natura rzuca tam bądź figę bądź kwiaty polne, bądź wreszcie krzew poziomek wyrosłych między kamieniami.

Nigdzie w całym świecie nie znaleźlibyście siedziby zarazem tak skromnej i tak wspaniałej; tak bogatej w owoce, w zapachy, widoki. Jest to w sercu Turenii mała Turenia, gdzie wszystkie kwiaty, wszystkie owoce, wszystkie piękności tego kraju zebrane są w komplecie. Wino ze wszystkich okolic, figi, brzoskwinie, gruszki wszelkiego rodzaju; melony rosnące w polu równie dobrze jak lukrecja, granaty hiszpańskie, włoskie laury i jaśminy z Azorów. Loara jest u waszych stóp. Patrzycie na nią z terasy wznoszącej się na trzydzieści sążni ponad jej kapryśnymi wodami, wieczorem oddychacie jej świeżym powiewem idącym od morza, nasyconym w swoim biegu kwiatami długich grobli. Błąkająca się chmura, która za każdym krokiem w przestworzu zmienia kształt i kolor, pod niebem doskonale błękitnym, daje tysiąc nowych postaci każdemu szczegółowi wspaniałych krajobrazów, które następcząją się oczom ze wszystkich stron. Oczy ogarniają zrazu lewy brzeg Loary od Amboise, żyzną równinę, gdzie wznosi się Tours, jego przedmieścia, jego fabryki, Plessis; następnie część lewego brzegu, który od Vouvray aż do Saint-Symphorien opisuje półkole skał kryjących rozkoszne winnice. Oko opiera się aż na bujnych zboczach Cher, na błękitnym horyzoncie usianym parkami i zamkami. Wreszcie, na zachód, dusza gubi się w olbrzymiej rzece, po której żeglują nieustannie statki o białych żaglach wzdętych od wiatru, nieustających prawie na tym szerokim basenie. Książę może zrobić z Granatki swoją willę, ale poeta zawsze uczyni z niej swoje mieszkanie; para kochanków ujrzy w niej najśladzsze schronienie; będzie idealną siedzibą zacnego obywatela z Tours: ma poezje dla każdej wyobraźni, dla najzimniejszych i najuboższych duchem, jak dla najpodnioslejszych i najgorętszych; kto tam wejdzie, musi odczuć atmosferę szczęścia, zrozumieć życie spokojne, wyzute z ambicji, z mozola. Marzenie jest w powietrzu i w szmerze fal; piaski mówią, są smutne albo wesołe, złociste lub szare; wszystko jest ruchem dokoła posiadacza tej winnicy, nieruchomej pośród swoich żywych kwiatów a pełnych owoców. Anglik płaci tysiąc franków, aby mieszkać pół roku w tym skromnym domku; ale zobowiązuje się szanować zbiory; jeżeli chce mieć owoce, płaci podwójny

⁵sabinka, jałowiec sabski (bot.) — krzew ozdobny, silnie rozgałęziony, szczególnie często spotykany w ogródkach skalnych. [przypis edytorski]

⁶morga — daw. miara powierzchni gruntu, około 0,5 ha. [przypis edytorski]

⁷pendant — odpowiednik lub uzupełnienie czegoś. [przypis edytorski]

⁸szpalery — dwa równoległe rzędy drzew lub krzewów tworzące alejkę. [przypis edytorski]

czynsz; jeżeli ma smak na wino, jeszcze zdwaja sumę. Cóż więc warta jest Granatka ze swoją dróżką, ze swą ścieżyną, ze swą potrójną terasą, ze swymi dwoma morgami wina, balustradami pełnymi kwitnących róż, ze swoim starym gankiem, swoim żurawiem, swymi kapryśnymi powojami i drzewami wszystkich stron świata? Nie proponujcie ceny! Granatka nie będzie nigdy na sprzedaż. Kupiona raz w roku 1690, oddana z żalem za czterdzieści tysięcy franków, jak Arab w pustyni oddaje ulubionego konia, przetrwała w jednej rodzinie, jest jej dumą, klejnotem rodzinnym, jej *regentem*⁹. „Widzieć, czyż nie znaczy posiadać?” — rzekł poeta. Stamtąd widzicie trzy doliny Turenii i jej katedrę zawieszoną w powietrzu niby filigranowe cacko. Czy można opłacić takie skarby? Czy zdołacie kiedy opłacić zdrowie, które odzyskujecie tam pod lipami?

Z wiosną jednego z najpiękniejszych lat Restauracji¹⁰ pewna dama, w towarzystwie służącej i dwóch chłopców, z których młodszy wyglądał na osiem lat, a drugi mniej więcej na trzynaście, przybyła do Tours szukać mieszkania. Ujrzała Granatkę i wynajęła ją. Może odległość tej siedziby od miasta skłoniła ją do zamieszkania tam. Salon obróciła na sypialnię, każde z dzieci umieściła w jednym z pokoiów na piętrze, służąca zaś spała w alkierzu¹¹ nad kuchnią. Jadalnia stała się wspólnym salonem małej rodziny oraz salą przyjęć. Dom umeblowano bardzo skromnie, ale ze smakiem; nie było tam nic niepotrzebnego ani nic, co by trąciło zbytkiem. Meble wybrane przez nieznaną panią były orzechowe, bez żadnej ozdoby. Czystość, harmonia między wnętrzem a otoczeniem domu stanowiły cały jego wdzięk.

Dość trudno było tedy¹² wiedzieć, czy pani Willemsens (nazwisko, które przybrała obca dama) należy do bogatego mieszczaństwa, do arystokracji, czy też do pewnej dwuznacznej klasy kobiet. Prostota jej dostarczała tematu do najsprzeczniejszych przypuszczeń, ale jej wzięcie usposabiało raczej korzystnie. Toteż niedługo po jej przybyciu do Saint-Cyr rezerwa jej obudziła zainteresowanie prowincjonalnych próżniaków, nawykłych obserwować wszystko, co może urozmaicić ciasny krąg ich życia. Pani Willemsens była to kobieta dosyć wysokiego wzrostu, szczupła i chuda, ale delikatnej budowy. Miała ładne stopy, bardziej zalecające się wytwornym wiązaniem niż drobnym kształtem, który jest rzeczą dość pospolitą. Ręce, ukryte w rękawiczkach, zdawały się piękne. Nieco czerwonych plam występujących przelotnie na twarzy psuło białą pleć¹³, niegdyś świeżą i krasną¹⁴. Przedwczesne zmarszczki kaziły zarysowane ładnie czoło, strojnie koroną ciemnych włosów, zawsze splecionych w okrężne warkocze: dziewicze to uczesanie było w harmonii ze smutkiem twarzy. Czarne oczy, silnie podkrążone, zapadłe, pełne gorączkowego żaru, łudziły kłamiwym spokojem; ale chwilami, kiedy zapomniiała o masce, którą sobie nałożyła, malował się w nich tajemny lęk. Owal twarzy był nieco za długi, ale niegdyś może szczęście i zdrowie dawały mu właściwe proporcje. Sztywny uśmiech, przepajany łagodnym smutkiem, błędził zwyczajnie po bladych wargach; jednakże usta ożywiały się, a uśmiech ich wyrażał rozkosze macierzyństwa, kiedy dwaj chłopcy, którzy jej zawsze towarzyszyli, patrzyli na nią lub zasypywali ją owymi niewyczerpanymi a pustymi pytaniami, które wszystkie mają sens dla matki. Chód jej był szlachetny i powolny. Zawsze miała ten sam strój, który zdradzał stanowczy zamiar niezajmowania się już swoją toaletą i zapomnienia o świecie; pragnęła zapewne, aby i świat o niej zapomniiał. Nosila czarną suknię bardzo długą, przepasaną morową¹⁵ wstążką; na to, kształtem szala, batystową¹⁶ chustkę z szerokim szlakiem, której końce były niedbale utkwione za paskiem. Obuta¹⁷ ze staraniem, które zdradzało przyzwyczajenie do wykwinu¹⁸, nosiła szare jedwabne pończochy, podkreślające jeszcze odcień żaloby tego stałego kostiumu. Kapelus

⁹*regent* — osoba zastępująca nieobecnego lub młodocianego władcę w sprawowaniu obowiązków. Tu przenośnie. [przypis edytorski]

¹⁰*Restauracja* — okres w historii Francji, kiedy rządziła przywrócona do władzy dynastia Burbonów (1814–1830). [przypis edytorski]

¹¹*alkierz* (daw.) — mały, boczny pokój, często sypialny. [przypis edytorski]

¹²*tedy* (daw.) — zatem, więc. [przypis edytorski]

¹³*pleć* (daw.) — cera, skóra, karnacja. [przypis edytorski]

¹⁴*krasny* (daw.) — rumiany, czerwony; ładny, piękny. [przypis edytorski]

¹⁵*morowy* — tu: zrobiony z mory, tkaniny o falisto mieniącym się wzorze. [przypis edytorski]

¹⁶*batyst* — cienka tkanina z bawełny lub z lnu. [przypis edytorski]

¹⁷*obuty* — noszący buty lub konkretny rodzaj obuwia, mający buty; por. odziany. [przypis edytorski]

¹⁸*wykwint* — dziś: wykwinność. [przypis edytorski]

wreszcie, angielskiego i niezmiennego kroju, był z szarej materii, ozdobiony czarnym welonem. Zdawała się nadwyzczaj wątlą i bardzo cierpiąca. Jedyną jej przechadzką był spacer z Granatki do mostu w Tours; czasami, gdy wieczór był ciepły, szła z dziećmi odychać świeżym powiewem Loary i podziwiać zachód słońca w tym krajobrazie równie rozległym jak widok Zatoki Neapolitańskiej albo Jeziora Genewskiego. Przez cały czas pobytu swego w Granatce dwa razy tylko była w Tours: raz, aby prosić rektora kolegium o wskazanie jej najlepszych nauczycieli łaciny, matematyki i rysunku, następnie, aby ułożyć z osobami, które jej wskazano, bądź cenę, bądź godziny lekcji. Ale wystarczyło jej pokazać się raz lub dwa razy na tydzień na moście wieczorem, aby obudzić ciekawość wszystkich prawie mieszkańców miasta, którzy przechadzają się tam stale. Mimo owego niewinnego szpiegostwa, jakie rodzi się na prowincji z bezczynności i z niespokojnej ciekawości „towarzystwa”, nikt nie mógł uzyskać pewnych wiadomości co do rangi nieznanym w świecie, ani co do jej majątku, ani nawet co do jej istotnego stanu. Jedynie właściciel Granatki zdradził paru przyjaciółom nazwisko, zapewne prawdziwe, pod jakim nieznanym zawarła kontrakt najmu. Nazywała się Augusta Willemsens, hrabina de Brandon: widocznie nazwisko męża. Ostatnie wypadki tego opowiadania potwierdziły później prawdę tego odkrycia; ale nie wyszło ono poza świat kupiecki, w którym obracał się właściciel. Toteż pani de Willemsens została na zawsze tajemnicą dla ludzi z wyższego towarzystwa; jedynym, co mogli w niej odgadnąć, był jej wrodzony wykwint, prostota i naturalność obejścia, anielsko słodki głos. Głęboka jej samotność, jej melancholia i piękność tak żarliwie dławiona, na wpół zwiędła nawet, miały tyle czaru, że wielu młodych ludzi zaproszyło ją sobie głowę¹⁹; ale im miłość ich była szersza, tym mniej miała odwagi; nieznanym posiadała coś imponującego, nikt nie śmiał się do niej zbliżyć. Jeżeli ktoś śmielszy napisał do niej, list z pewnością poszedł nieotwarty w ogień. Pani de Willemsens rzuciła w ogień wszystkie listy, jakie otrzymywała, jak gdyby chciała spędzić bez najlżejszej troski czas pobytu w Turenii. Rzeklibyście, przybyła w to czarowne ustronie po to, aby się oddać cała szczęściu życia. Trzej nauczyciele, którzy mieli wstęp do Granatki, z podziwem mówili o wzruszającym obrazie, jaki przedstawiał serdeczny i niezmacony stosunek tej kobiety z dziećmi.

Dzieci te również budziły wiele zainteresowania, matki nie mogły patrzeć na nie bez zazdrości. Obaj chłopcy byli podobni do pani Willemsens, która była w istocie ich matką. Obaj mieli ową przejrzystą cerę, żywe kolory, owe czyste i wilgotne oczy, owe długie rzęsy, ową świeżość, która tyle dodaje blasku piękności dziecięctwa²⁰. Starszy, imieniem Gaston Ludwik, miał włosy czarne i spojrzenie śmiałe. Wszystko w nim świadczyło o krzepkim zdrowiu, tak jak szerokie i wysokie, szlachetnie sklepione czoło świadczyło o energicznym charakterze. Był gibki, zręczny, dobrze rozwinięty, nie miał nic wymuszonego, nie dziwił się niczemu i widocznie zastanawiał się nad wszystkim, co widzi. Drugi, Gaston Marian, był niemal blondyn, mimo że miejscami włosy jego były już popielate i przybierały ton włosów matki. Marian był wątlą, miał delikatne rysy i ów wykwint form, który tak czarował u pani Willemsens. Zdawał się chorowity: szare oczy patrzyły łagodnie, cera jego była blada. Było w nim coś z kobiety. Nosił zawsze haftowany kołnierzyk, długie kręcące się włosy oraz kubraczek zdobny w szamerowania²¹ i oliwki²², ubiór, który daje młodemu chłopcu niewymowny wdzięk i zdradza istic kobiecą przyjemność stroju, którym matka bawi się może tyleż co dziecko. Ten ładny kostium stanowił kontrast z prostą kurtką starszego, na którą wywinęty był gładki kołnierz od koszuli. Spodnie, buciki, kolor ubrania, były jednakie i zarówno jak ich podobieństwo, świadczyły, że to są bracia. Widząc ich, niepodobna było nie wzruszyć się dbałością Ludwika o Mariana. Starszy brat miał coś ojcowskiego w spojrzeniu; Marian zaś, mimo roztrzepania młodości, zdawał się przeniknięty wdzięcznością dla Ludwika: były to dwa kwiatki ledwie odłączone od łodygi, kołysane tym samym wietrzykiem, grzane tym samym promieniem słońca, jeden krasny, drugi na wpół zwiędły. Jedno słowo, spojrzenie, głos matki wystarczyły, aby obudzić ich uwagę, kazać im zwrócić głowę, słuchać, przyjąć rozkaz, prośbę, przestroję i poddać się

Brat

¹⁹zaproszyć sobie głowę kimś (daw.) — zawrócić sobie kimś głowę, zakochać się w kimś. [przypis edytorski]

²⁰dzieciństwo (daw.) — dzieciństwo. [przypis edytorski]

²¹szamerowanie a. szamerunek — ozdoba ubrań, szczególnie dawnych mundurów, wykonana z pasmanterii (taśm, sznurów itp.) naszytej wymyślnie na materiale. [przypis edytorski]

²²oliwka — guzik w kształcie owocu oliwki. [przypis edytorski]

im. Pani Willemsens umiała w nich przelać swoje życzenia, swoją wolę, tak jakby istniała między nimi wspólna myśl. Kiedy w czasie przechadzki bawili się, idąc przed nią, zrywając kwiaty, oglądając owady, przyglądała się im z tak głębokim rozczuleniem, że najobojętniejszy przechodzień czuł się wzruszony, zatrzymywał się, aby się przyjrzeć tym dzieciom, przejąc ich uśmiech i pozdrowić matkę przyjacielskim spojrzeniem. Któż by nie podziwiał nadzwyczajnej schludności ich ubranek, miłego dźwięku głosów, wdzięku ruchów, ujmującej fizjonomii oraz wrodzonej szlachetności, które zdradzały staranne wychowanie od kołyski! Zdawało się, że te dzieci nigdy nie krzyczały ani nie płakały. Matka ich miała jakieś magnetyczne przeczucie ich pragnień, ich bólów, uprzedzała je, uspokajała nieustannie. Zdawało się, że bardziej boi się ich skargi niż wiekuistego potępienia.

Wszystko w tych dzieciach było pochwałą matki; widok tego potrójnego życia, które zdawało się jednym życiem, rodził jakieś nieokreślone i lube myśli, obraz owego szczęścia, jakie marzymy sobie w lepszym świecie. Wewnętrzne życie tych trojga tak harmonijnych istot zgodne było z wrażeniem, jakie budził ich widok; było pełne ładu, regularne i proste, idealne dla wychowania dzieci. Obaj wstawali w godzinę po świcie, odmawiali najpierw krótką modlitwę, do której nawykli od dziecka, słowa płynące z serca, odmawiane przez siedem lat na łóżku matki, zaczynane i kończone pocałunkiem. Następnie bracia, przywykli snadź²³ do owej drobiazgowej dbałości o siebie, tak potrzebnej dla fizycznego zdrowia i dla czystości duszy i dającej niejako świadomość szczęśliwego samopoczucia, robili toaletę skrupulatną jak toaleta ładnej kobiety. Nie zaniedbali niczego, tak bardzo lękali się obaj wymówki, choćby najczulszej, ze strony matki, kiedy ściskając ich, rzekła na przykład przy śniadaniu:

— Moje dzieci, gdzie żeście wy już mogli zabrudzić paznokcie?

Następnie obaj biegli do ogrodu, strząsali resztki snu w świeżości rosy, czekając, aż służąca posprząta wspólną salę, gdzie szli przerabiać lekcje aż do przebudzenia się matki. Ale od czasu do czasu nadsluchiwali, czy się nie obudziła, mimo że mieli wejść do jej sypialni dopiero o oznaczonej godzinie. To wtargnięcie poranne, zawsze połączone z naruszeniem zasadniczego układu, zawsze było sceną rozkoszną dla pani Willemsens i dla nich. Marian wskakiwał na łóżko, aby objąć rękami swoje bóstwo, gdy Ludwik, kłęcząc w głowach²⁴, ujmował rękę matki. Następowaly wówczas niespokojne pytania, takie, jakimi kochanek zasypuje ukochaną, anielskie śmiechy, pieszczoty wraz namiętne i czyste, wymowne milczenia, paplania dziecinne, opowiadania przerywane i nawiązywane znów pocałunkami, rzadko dokończzone, zawsze słuchane...

— Czyście porządnie się uczyli? — pytała matka, ale głosem łagodnym i przyjacielskim, skłonna współczuć z lenistwem jak z nieszczęściem, gotowa objąć wilgotnym spojrzeniem tego, który zdawał się rad z siebie. Ona wiedziała, że chęć sprawienia jej przyjemności podnieca jej dzieci; one wiedziały, że matka żyje tylko dla nich, że ich prowadzi w życie z całą inteligencją miłości, że im oddaje wszystkie myśli, wszystkie godziny. Cudowny instynkt, który nie jest jeszcze ani egoizmem, ani rozsądkiem, który jest może uczuciem w jego pierwszej niewinności, objaśnia dzieciom, czy są przedmiotem wyłącznych starań i czy się ktoś nimi zajmuje z rozkoszą. Kochacie je? Wówczas te drogie istotki — sama szczerłość, sama sprawiedliwość — są cudownie wdzięczne. Kochają namiętnie, zazdrośnie, mają najbardziej urocze delikatności, znajdują najtkliwsze słowa; są ufne, wierzą wam we wszystkim. Może też nie istnieją złe dzieci bez złych matek: przywiązanie ich jest zawsze w proporcji do tego, co wyczuwają, do pierwszych starań, jakich są przedmiotem, pierwszych słów, pierwszych spojrzeń, w których szukały miłości i życia. Wszystko wówczas przyciąga albo odpycha. Bóg złożył dzieci w łonie matki, aby jej tym powiedzieć, że powinny na nim zostać długo. Bądź co bądź, spotyka się matki okrutnie niezrozumiane, tklive i wzniosłe uczucia wciąż deptane; potworne niewdzięczności, które dowodzą, jak trudno jest stawiać bezwzględne zasady w sferze uczuć. W sercu tej matki i tych synów nie brakło ani jednego z tysięcy więzów, które mają ich wiązać do siebie. Samotni na ziemi, żyli wspólnym życiem i rozumieli się dobrze. Kiedy rano pani Willemsens była milcząca, Ludwik i Marian milczeli, szanując w niej wszystko, nawet te myśli, których nie dzielili. Ale starszy, już nad wiek rozwinięty, nie zadowalał

Dziecko, Matka

²³snadź (daw.) — widocznie, zapewne, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

²⁴głowy — część łóżka lub innego legowiska, gdzie kładzie się głowę. Tu: podłoga obok tej części. [przypis edytorski]

się nigdy zapewnieniami matki, że ma się dobrze; śledził jej twarz z posępnym niepokojem, nie znając niebezpieczeństwa, ale przeczuwając je, kiedy widział dokoła oczu jej siną obwódkę, kiedy spostrzegał, że zapadają się głębiej, a wypieki na twarzy są żywsze. Obdarzony subtelną wrażliwością, odczuwał, kiedy igraszki Mariana zaczynają ją męczyć, i umiał wówczas powiedzieć bratu:

— Chodź, Marianie, chodźmy na śniadanie, jeść mi się chce.

Ale już będąc w drzwiach, odwracał się, aby podchwycić wyraz twarzy matki, która jeszcze znajdowała dla niego uśmiech; często nawet łzy kręciły się w jej oczach, kiedy gest syna zdradził jego delikatne odczucie, przedwczesne zrozumienie bólu.

Czas przeznaczony na pierwsze śniadanie dzieci i na ich rekreację obracała pani Willemsens na swoją toaletę; była zalotna dla swoich drogich malców, chciała się im podobać, być im miła we wszystkim, mieć dla nich wdzięk; być dla nich wciąż powabna jak luby zapach, do którego wraca się chętnie. Była zawsze gotowa na repetycje²⁵, które odbywały się między dziesiątą a trzecią, przerwane w południe drugim śniadaniem, spożywanym wspólnie w altanie. Po tym posiłku godzina była przeznaczona na zabawę; przez ten czas szczęśliwa matka — biedna kobieta — leżała na kanapie w tej altanie, skąd oglądała się lubą Turenię, wciąż zmienną, wciąż odmładzającą się w tysiącnych przygodach dnia, nieba, pory roku. Chłopcy uganiaли po ogrodzie, wspinali się na terasy, biegali za jaszczurkami, sami zwinni jak jaszczurki; podziwiali nasiona, kwiaty, studiowali owady i pytali się o wszystko matki. Raz po raz biegali do altany i z powrotem. Na wsi dzieci nie potrzebują zabawek, wszystko jest dla nich zabawą. Pani Willemsens była obecna przy lekcjach, robiąc robótkę. Siedziała w milczeniu, nie patrzyła ani na dzieci, ani na nauczycieli, słuchała z uwagą, jak gdyby starając się pochwycić sens słów i zgadnąć, czy Ludwiś robi postępy. Skoro zakłopotał nauczyciela jakim pytaniem i dowiódł w ten sposób rosnących wiadomości, oczy matki ożywiały się; uśmiechała się, rzucała nań spojrzenie nabrzmiałe otuchą. Od Mariana wymagała mało. Nadzieje jej były związane ze starszym, do którego odnosiła się z pewnym szacunkiem, obracając cały swój instynkt matki i kobiety na to, aby go podnieść duchowo, aby mu dać wysokie pojęcie o nim samym. Postępowanie to kryło myśl, którą chłopiec miał zrozumieć kiedyś i w istocie zrozumiał. Po każdej lekcji odprowadzała nauczycieli do bramy i wypytywała drobiazgowo o studia Ludwika. Była tak serdeczna i tak uprzejma, że korepetytorzy mówili jej prawdę, aby jej ułatwić pracę nad Ludwikiem w punktach, w których wydawał im się słabszy. Następował obiad, potem zabawa, przechadzka, wreszcie wieczorem znowu lekcje.

Takie było ich życie, jednostajne, ale pełne, w którym prace i rozrywka, szczęśliwie pomieszane, nie zostawiały miejsca na nudę. Zniechęcenia, sprzeczki były niemożliwe. Bezgraniczna miłość matki czyniła wszystko łatwym. Tchnęła w swoich synów umiarkowanie, nie odmawiając im nigdy niczego; ochotę, chwalać ich, kiedy zasłużyli; rezygnację, ukazując im konieczność we wszelkiej formie; rozwinęła, umocniła ich anielską naturę ze zręcznością wróżki. Czasami parę łez zwilżyło jej płomienne oczy, kiedy patrząc na bawiące się dzieci, pomyślała, że nigdy nie sprawiły jej najmniejszej zgrzyoty. Szczęście bezmierne, zupełne, wyciska nam łzy jedynie dlatego, że jest obrazem nieba, którego wszyscy mamy mgliste przecucie. Spędzała rozkoszne godziny na leżaku, oglądając piękny dzień, wielką taflę wody, malowniczą okolicę, słysząc głos swoich dzieci, śmiechy ich odradzające się w nowym śmiechu, ich drobne sprzeczki, w których przebijała ich wzajemna miłość, ojcowskie uczucie Ludwika dla Mariana i miłość obu dla niej. Ponieważ mieli w dzieciństwie bonę²⁶ Angielkę, mówili równie dobrze po angielsku, co po francusku, toteż matka posługiwała się z nimi na przemian oboma językami. Prowadziła cudownie ich młode dusze, nie dopuszczając do ich inteligencji żadnego fałszywego pojęcia, do serca żadnej złej zasady. Prowadziła ich łagodnością, nie ukrywając im nic, tłumacząc wszystko. Kiedy Ludwik chciał czytać, starała się dawać mu książki zajmujące, ale ścisłe. Były to żywoty słynnych marynarzy, wielkich ludzi, znakomitych wodzów. W najdrobniejszych szczegółach tego rodzaju książek znajdowała tysiąc sposobności, aby mu zawczasu tłumaczyć świat i życie, kładąc nacisk na środki, jakimi posługują się ludzie nieznan-

²⁵repetycje — powtórki; tu: odpytywanie uczniów z omówionego materiału, utrwalanie materiału szkolnego przy jednoczesnym jego sprawdzeniu. [przypis edytorski]

²⁶bona — niania, wychowawczyni małych dzieci, pracująca dawniej w zamożnych rodzinach. [przypis edytorski]

ale naprawdę wielcy, którzy wyruszyli bez protektorów z ostatnich szeregów, aby dojść do wspaniałych przeznaczeń. Lekcje te, które nie należały do najmniej użytecznych, odbywały się wieczorem, kiedy mały Marianek zasnął na kolanach matki, w ciszy pięknej nocy, gdy Loara odbijała niebo; ale pogłębiały one melancholię tej czarującej kobiety, która w końcu zawsze milkła i siedziała nieruchoma, zamysłona, z oczyma pełnymi łez.

— Mamo, czemu płaczesz? — spytał Ludwik pięknego czerwcowego wieczora, w chwili gdy półmrok bladej nocy nastąpił po upalnym dniu.

— Mój synu — odparła, przyciągając chłopca, którego tajone wzruszenie przejęło ją żywo — dlatego, że los Jameray Duvala, biednego tak długo, wybijającego się bez pomocy, to los, który widzę dla ciebie i dla twego brata. Niebawem, drogie dziecko, będziecie sami na ziemi, bez oparcia, bez pomocy. Zostawię was małych jeszcze, a chciałabym widzieć cię dość silnym, dość wykształconym, abys mógł stać się Marianowi opiekunem. A nie będę miała czasu. Znadto was kocham, aby móc udźwignąć tę myśl. Drogie dzieci, byleście mnie nie przeklinały kiedyś...

— Czemu miałbym cię kiedyś przeklinać, mamo?

— Kiedyś, mój biedny mały — rzekła, całując go w czoło — zrozumiesz, że zawiniłam wobec was. Zostawię was tu bez majątku, bez...

Zawahala się.

— Bez ojca — dodała.

Na te słowa zalała się łzami, odepchnęła lekko syna, który odczuł, że matka chce być sama i zabrał na wpeł uspiętego Mariana. Następnie w godzinę później, kiedy brat się położył, Ludwik wrócił cicho do altany, gdzie znajdowała się matka. Usłyszał wówczas te słowa, wyrzeczone głosem jakże lubym dla jego serca:

— Chodź, Ludwisiu!

Dziecko rzuciło się w ramiona matki, uścisnęli się niemal konwulsyjnie.

— Moje kochanie — rzekł wreszcie, dawał jej bowiem często to miano, gdy nawet słowa miłosne zdawały mu się zbyt słabe na wyrażenie swoich uczuć — moje kochanie, czemu ty boisz się, że umrzesz?

— Jestem chora, drogi aniele, z każdym dniem siły moje słabną, a choroba moja jest bez ratunku, wiem o tym.

— Cóż to za choroba?

— Powinnaś zapamiętać o niej, a ty nigdy nie powinienes znać przyczyny mojej śmierci.

Dziecko milczało chwilę, spoglądając ukradkiem na matkę, która z oczyma wzniesionymi w niebo patrzyła na chmury. Chwila słodkiej melancholii! Ludwik nie wierzył w bliską śmierć matki, ale odczuwał jej zgryzoty, mimo że ich nie zgadywał. Uszanował tę długą zadumę. Gdyby był starszy, byłby wyczytał na tej wzniosłej twarzy uczucie wyrzutu mieszające się ze wspomnieniem szczęścia, całe życie kobiety: dzieciństwo bez troski, chłodne małżeństwo, straszliwą namiętność, kwiaty zrodzone w czasie burzy, zniszczone piorunem, w przepaści, z której nie ma powrotu.

— Matko ukochana — rzekł wreszcie Ludwik — czemu kryjesz mi swoje cierpienia?

— Mój synu — odparła — powinniśmy kryć nasze zgryzoty oczom obcych, ukazywać im wesołą twarz, nie mówić im nigdy o sobie, zajmować się nimi, te zasady przestrzegane w rodzinie są jednym ze źródeł szczęścia. Będziesz miał wiele do przecierpienia kiedyś! Wspomnij wówczas na biedną matkę, która umierała w twoich oczach, uśmiechając się do ciebie ciągle, i kryła ci swoje cierpienia; znajdziesz wówczas siłę, aby znieść niedole życia.

I polykając łzy, starała się objaśnić synowi mechanizm życia, wartość, charakter, trwałość majątków, stosunki społeczne, uczciwe środki zdobycia pieniędzy na swoje potrzeby oraz konieczność wykształcenia. Następnie, zdradziła mu jedną z przyczyn swego ciągłego smutku i swoich łez, mówiąc, że nazajutrz po jej śmierci on i Marian znajdą się w zupełnym niedostatku, posiadając we dwóch ledwie nieznaczną sumę, nie mając innego opiekuna prócz Boga.

— Trzeba mi tedy czym prędzej się uczyć! — wykrzyknęło dziecko, obejmując matkę żalonym i głębokim spojrzeniem.

— Och! jakam ja szczęśliwa — rzekła, okrywając syna pocałunkami i oblewając łzami. — On mnie rozumie!... Ludwisiu — dodała — będziesz opiekunem brata, nieprawdaż?

Maska

Przyrzekasz mi to? Nie jesteś już dzieckiem!

— Tak — odparł — ale ty jeszcze nie umrzesz, powiedz?

— Biedne dzieci — odparła — miłość wasza podtrzymuje mnie! A przy tym ta ziemia jest tak piękna, powietrze tak zbawcze, może...

— Kiedy tak mówisz, jeszcze bardziej kocham Turenię — rzekł dzieciak wzruszony.

Od dnia, w którym pani Willemsens, przewidując rychłą śmierć, zaczęła mówić starszemu synowi o jego przyszłym losie, Ludwik, który skończył czternaście lat, stał się mniej roztargniony, pilniejszy, mniej skłonny do zabawy niż poprzednio. Może dlatego, że umiał namówić Mariana, aby czytał zamiast oddawać się hałaśliwym zabawom, dzieci robiły mniej zgiełku po ścieżkach i terasach. Dostroiły swoje życie do melancholii matki, której twarz stawała się z każdym dniem bledsza, żółtsza, czoło zapadało się na skroniach, a zmarszczki stawały się z każdą nocą głębsze.

W sierpniu, w pięć miesięcy po przybyciu małej rodziny do Granatki, wszystko się tam zmieniło. Śledząc nieznaczne jeszcze objawy powolnego zniszczenia, które toczyło ciało jej pani podtrzymywanej jedynie gorącą duszą i nadzwyczajną miłością dla dzieci, stara służąca stała się posępna i smutna: rzekłbyś, iż zna tajemnicę tej przedwczesnej śmierci. Często, kiedy jej pani, piękna jeszcze, bardziej zalotna niż kiedykolwiek, przystroiwszy swe gasnące ciało, uróżowawszy się, przechadzała się po najwyższej terasie w towarzystwie dwojga dzieci, stara Anna wsuwała głowę między dwa powoje koło studni, zapominała zaczętej roboty, trzymała szycie w ręku i z trudem powstrzymywała łzy, widząc panią Willemsens tak niepodobną do czarującej kobiety, którą znała.

Ten ładny domek, zrazu tak wesoły i ożywiony, jakby posmutniał; stał się milczący, mieszkańcy opuszczali go rzadko, pani Willemsens nie mogła już bez wielkiego wysiłku chodzić na most w Tours. Ludwik, którego wyobraźnia rozwinęła się nagle i który zespolił się niejako z matką, odgadłszy jej zmęczenie i cierpienie jej pod różem, wymyślał zawsze pozory, aby udaremnić przechadzkę zbyt daleką już dla matki. Radosne pary, śpieszące do Saint-Cyr — które tym jest dla Tours, czym Courtille dla Paryża — oraz gromadki spacerujących widziały nad groblą wieczorem tę kobietę bladą i szczupłą, całą w czerni, na wpół zżartą gorączką, ale jeszcze świetną, snującą się niby cień po terasie. Wielkie cierpienia mają swoją wymowę. Toteż zagroda winiarza stała się cicha. Czasami wieśniak ten, jego żona i dwoje dzieci stawali przed chatą; Anusia prała przy studni, pani z dziećmi siedziała w altanie; ale nie słyhać było najmniejszego hałasu w tych wesołych ogrodach, wszystkie rozrzucone oczy bez wiedzy pani patrzyły na nią. Była taka dobra, taka uważająca, tak imponująca dla każdego, kto się do niej zbliżył! Co do niej, od początku jesieni, tak pięknej, tak wspaniałej w Turenii, której dobroczynny klimat, winogrona, owoce, miały przedłużyć życie tej matki poza kresznaczony działaniem nieznanej choroby, widziała już tylko swoje dzieci i cieszyła się nimi w każdej chwili tak, jakby ta chwila miała być ostatnią.

Od czerwca do końca września Ludwik pracował nocami bez wiedzy matki, zrobił olbrzymie postępy; doszedł w algebrze do równań drugiego stopnia, nauczył się geometrii opisowej, rysował doskonale, słowem mógłby zdać z powodzeniem egzamin wymagany od młodych ludzi, którzy chcą wstąpić na Politechnikę. Niekiedy wieczorem szedł się przejść na most do Tours, gdzie spotkał pewnego kapitana okrętu spensjonowanego²⁷ przedwcześnie; męska fizjonomia, wstążeczka Legii, wzięcie tego marynarza z doby Cesarstwa podziały na jego wyobraźnię. Marynarz znowuż nabral sympatii do tego młodego chłopca, którego oczy błyszczwały energią. Ludwik, chciwy opowiadań żołnierskich i ciekawy wiadomości, szukał towarzystwa marynarza, aby z nim rozmawiać. Spensjonowany kapitan miał przyjaciela i kolegę, pułkownika piechoty, skreślonego jak on z kadr armii; młody Gaston mógł tedy kolejno zapoznać się z życiem obu i z życiem okrętu. Toteż zasypywał pytaniami dwóch wojskowych. Następnie, przejąwszy się zawczasu ich niedolą i ich twardym życiem, poprosił matkę o pozwolenie zrobienia wycieczki po okolicy dla rozerwania się. Ponieważ zdziwieni nauczyciele powiadali pani Willemsens, że syn pracuje za wiele, przyjęła tę prośbę z radością. Chłopiec robił tedy forsowne wycieczki. Chcąc się zahartować, drapał się na najwyższe drzewa z niewiarygodną szybkością; nauczył się pływać; nie spał. Nie był już dawnym dzieckiem; był to młodzieniec, którego

²⁷ spensjonowany (daw.) — na emeryturze. [przypis edytorski]

twarz słońce opaliło na brąz i na której pojawiała się już jakaś głęboka myśl.

Przyszedł październik, pani Willemsens mogła już wstawać zaledwie o południu, kiedy promienie słońca odbijające się w Loarze i skupione na terasach stwarzały w Granatce ową temperaturę dorównującą ciepłym i łagodnym dniom w Zatoce Neapolitańskiej, dzięki czemu lekarze miejscowi zalecają ją jako pobyt. Siadała wówczas pod drzewem, a synowie nie opuszczali jej już. Ustały nauki, odprawiono nauczycieli. Matka i dzieci chcieli żyć wspólnie, bez pracy, bez rozrywek. Nie było ani płaczu, ani radosnych krzyków. Starszy, leżąc na trawie przy matce, żył jej oddechem jak kochanek, całował jej nogi. Marian, niespokojny, chodził zrywać dla niej kwiaty, znosił je ze smutną miną i wspinał się na palce, aby uszczknąć na jej wargach pocałunek podobny do pocałunku młodej dziewczyny. Ta biała kobieta z wielkimi czarnymi oczami, wyczerpana, powolna w ruchach, nieskarżąca się nigdy, uśmiechająca się do dwóch dzieciaków, żywych, tryskających zdrowiem, tworzyła z nimi wspaniały obraz, któremu nie brakło ani melancholijnego przepychu jesieni z jej pożółkłymi liśćmi i wpółogolconymi drzewami, ani łagodnego blasku słońca i białych chmur tureńskiego nieba.

Wreszcie lekarz zabronił pani Willemsens opuszczać pokój. Codziennie pokój jej był strojny w ulubione kwiaty: dzieci siedziały przy niej. W pierwszych dniach listopada ostatni raz dotknęła fortepianu. Nad fortepianem wisiał krajobraz szwajcarski. Koło okna dwaj chłopcy, skupieni razem, patrzyli na nią. Spojrzenia jej biegły wciąż od dzieci na krajobraz i od krajobrazu na dzieci. Twarz jej zabarwiła się, palce pobiegły żywo po klawiszach z kości słoniowej. Było to ostatnie jej święto, święto nieznanne, święto poświęcone w głębinach jej duszy przez ducha wspomnień. Przyszedł lekarz i kazał jej zostać na stałe w łóżku. Przerazający ten wyrok przyjęła matka, jak i synowie, w milczeniu niemal tępym.

Kiedy lekarz odszedł, rzekła:

— Ludwiku, zaprowadź mnie na terasę, niech zobaczę jeszcze moją ziemię.

Na te słowa wyrzeczone z prostotą, dziecko podało ramię matce i powiodło ją na terasę. Tam oczy jej skierowały się, mimo woli może, bardziej na niebo niż na ziemię; ale trudno byłoby rozstrzygnąć w tej chwili, gdzie był piękniejszy widok, chmury bowiem podobne były najwspanialszym lodowcom alpejskim. Czoło jej zmarszczyło się gwałtownie, oczy przybrały wyraz bólu i wyrzutu, chwyciła dłonie obu synów i przycisnęła je do wzburzonego serca:

— *Ojciec i matka nieznan!* — wykrzyknęła, obejmując ich głębokim spojrzeniem. — Biedne anioły, co się z wami stanie? A kiedyś, w dwudziestym roku, jakże surowego rachunku zażądacie z mojego i waszego życia?

Odepchnęła dzieci, oparła się łokciami o balustradę, ukryła twarz w dłoniach i została tak chwilę sama z sobą, bojąc się odsłonić twarz. Kiedy się obudziła ze swej boleści, ujrzała Ludwika i Mariana klęczących przy niej jak dwa anioły; śledzili jej spojrzenia, obaj uśmiechali się do niej słodko.

— Czemuż nie mogę unieść z sobą tego uśmiechu! — rzekła, wycierając łzy.

Wróciła, aby się położyć do łóżka, z którego nie miała wyjść, aż w trumnie.

Osiem dni przeszło, osiem dni podobnych do siebie. Stara Anna i Ludwik czuwali kolejno w nocy przy pani Willemsens, z oczyma utkwionymi w oczach chorej. Rozgrywał się, chwila po chwili, ów głęboko tragiczny dramat, który spełnia się w każdej rodzinie, kiedy za każdym silniejszym oddechem ubóstwianej chorej lękamy się, aby to nie był ostatni. W piątym dniu tego nieszczęsnego tygodnia, lekarz kazał usunąć kwiaty. Złudzenia życia odchodziły jedno po drugim.

Od tego dnia Marian i jego brat czuli ogień na wargach, kiedy całowali matkę w czoło. Wreszcie, w sobotę wieczór, pani Willemsens nie mogła znieść żadnego hałasu, trzeba było zostawić pokój niesprzątany. Zaniedbanie to było jakby początkiem agonii dla tej kobiety wykwintnej, rozkochanej we wdzięku. Ludwik nie chciał już opuszczać matki. W niedzielę w nocy, przy blasku lampy i pośród najgłębszej ciszy, Ludwik, który sądził, że matka drzemie, ujrzał, jak białą i wilgotną ręką rozsuwa franki.

— Synu — rzekła.

Głos umierającej miał coś tak uroczystego, że siła jego, płynąca z nabrzmiałej duszy, oddziaływała silnie na dziecko; uczuł żar wnikający aż do szpiku kości.

— Czego chcesz, mammo?

Choroba

— Posłuchaj mnie. Jutro wszystko będzie skończone. Nie zobaczymy się już. Jutro będziesz mężczyzną, moje dziecko. Muszę tedy uczynić pewne zarządzenia, które będą tajemnicą między nami. Weź kluczyk z mojego stolika. Dobrze! Otwórz szufladę. Znajdziesz tam na lewo dwa zapieczętowane papiery. Na jednym napisane jest: „Ludwik”. Na drugim: „Marian”.

— Są, mammo.

— Mój synu ukochany, to metryki waszego urodzenia, będą wam potrzebne. Dasz je do schowania poczciwej starej Annie, która wam je odda, kiedy ich będziecie potrzebowali.

— A teraz — dodała — czy nie ma tam papieru, na którym napisałam kilka wierszy²⁸?

— Jest, mammo.

I Ludwik zaczął czytać:

— „Maria Willemsens, urodzona w...”

— Dosyć — rzekła żywo. — Nie czytaj dalej. Kiedy umrę, mój synu, wręczysz i ten papier Annie i powiesz jej, aby go oddała w merostwie²⁹ w Saint-Cyr, gdzie posłuży na sporządzenie mego aktu zgonu. Weź teraz papier i pióro, aby napisać list, który ci podyktuję.

Kiedy widziała, że syn jest gotów i że obrócił się ku niej jakby w oczekiwaniu, rzekła spokojnym głosem: „Panie hrabio, żona pańska, lady Brandon, umarła w Saint-Cyr koło Tours, w departamencie Indre et Loire. Przebaczyła panu”.

— Podpisz...

Zatrzymała się niezdecydowana, podniecona.

— Czy ci gorzej, mammo? — spytał Ludwik.

— Podpisz: „Ludwik Gaston”.

Westchnęła, po czym dodała:

— Zapieczętuj list i napisz następujący adres: „Do lorda Brandon. Brandon Square, Hyde Park. Londyn. Anglia”.

— Dobrze — rzekła. — W dniu mojej śmierci nadasz ten list w Tours.

— A teraz — rzekła po pauzie — weź pugilares³⁰, który znasz i usiądź koło mnie, dziecko.

— Jest tutaj — rzekła, kiedy Ludwik usiadł — dwanaście tysięcy franków. Należą do was, niestety! Bylibyście bogatsi, gdyby wasz ojciec...

— Mój ojciec! — wykrzyknął chłopiec. — Gdzie on jest?

— Umarł — rzekła, kładąc palec na ustach — umarł, aby mi ocalić honor i życie.

Podniosła oczy do nieba. Byłaby zapłakała, gdyby miała jeszcze łzy.

— Ludwiku — podjęła — przysięgnij mi, przy tym łóżku, że zapomnisz to, coś napisał, i to, co ci powiedziałam.

— Tak, mammo.

— Uściskaj mnie, drogi aniele.

Uczyniła długą pauzę, jak gdyby chcąc zaczerpnąć odwagi w Bogu i odmierzyć swoje słowa wedle sił, jakie jej zostały.

— Słuchaj. Tych dwanaście tysięcy franków to cały wasz majątek; trzeba, abys je zachował przy sobie, bo skoro ja umrę, przyjdą tu komornicy, którzy opieczętują wszystko. Nic nie będzie tu do was należało, nawet wasza matka! I nie zostanie wam nic, biedne sieroty, jak tylko iść stąd Bóg wie gdzie. Zabezpieczyłam los Anny. Będzie miała sto talarów rocznie i pewnie zostanie w Tours. Ale co ty poczniesz z sobą i ze swoim bratem?

Usiadła na łóżku i patrzyła na dzielnego chłopca, który z kroplami potu na czole, błądy od wzruszenia, z oczyma wpółzamglonymi płaczem, stał przy łóżku.

— Mammo — odparł poważnym głosem — myślałem o tym. Oddam Mariana do kolegium w Tours. Dam dziesięć tysięcy franków starej Annie, polecając jej, aby je schowała w bezpiecznym miejscu i aby czuwała nad bratem. Następnie ze stoma ludwikami,

²⁸wiersze — tu: linijki tekstu. [przypis edytorski]

²⁹merostwo — we Francji: siedziba mera, odpowiednika wójta, burmistrza lub prezydenta miasta. [przypis edytorski]

³⁰pugilares (daw.) — portfel na pieniądze i dokumenty. [przypis edytorski]

które mi zostaną³¹, pojedę do Brest, zaciągnę się jako majtek. Podczas gdy Marian będzie kończył szkoły, zostanę porucznikiem okrętu. Słowem, umieraj spokojnie, mamó, nie bój się, będę bogaty, oddam naszego małego na Politechnikę albo pokieruję nim wedle jego skłonności.

Błysk radości zalśnił w na wpół zgasłych oczach matki, dwie łzy spłynęły z nich, potoczyły się po rozpalonych policzkach; następnie głębokie westchnienie wydarło się z jej ust: omal nie umarła pod naporem radości, odnajdując duszę ojca w synu, który w jednej chwili stał się mężczyzną.

— Aniele niebios — rzekła, płacząc — wymazałeś tymi słowami wszystkie moje bóleści. Och! mogę cierpieć... To mój syn — dodała — to ja wydałam, ja wychowałam tego mężczyznę!

Podniosła ręce do góry i złożyła je jakby dla wyrażenia radości bez granic, po czym położyła się.

— Mamó, ty bledniesz! — wykrzyknął chłopiec.

— Trzeba iść po księdza — odpowiedziała umierającym głosem.

Ludwik obudził starą Annę, która przerażona pobiegła na plebanię do Saint-Cyr.

Rano pani Willemsens przyjęła sakramenty w podniosłym i wzruszającym nastroju. Dzieci jej, Anna oraz rodzina wieśniaka, prosił ludzkie, którzy należeli niemal do rodziny, uklękli. Srebrny krzyż niesiony przez chłopczynę — chłopiec z chóru na wsi! — wznosił się przed łóżkiem, a stary ksiądz udzielał ostatniego namaszczenia umierającej. Wiatyk! — wzniosłe słowo, myśl wznioślejsza jeszcze niż słowo, które posiada jedynie apostolska religia rzymskiego Kościoła.

— Ta kobieta bardzo cierpiała! — rzekł ksiądz z prostotą.

Maria Willemsens nie słyszała już, ale oczy jej utkwione były w dwojgu dzieci. Wszyscy zdęci grozą słuchali w najgłębszym milczeniu oddechu umierającej, który stawał się coraz wolniejszy. Od czasu do czasu głębokie westchnienie świadczyło jeszcze o życiu, zdradzając wewnętrzną walkę. Wreszcie matka przestała oddychać. Wszyscy zalali się łzami, wyjąwszy Mariana. Biedne dziecko było jeszcze zbyt młode, aby zrozumieć śmierć. Anna i gospodyni zamknęły oczy uroczej istocie, której piękność wystąpiła wówczas w całym blasku. Wyprawiły wszystkich, usunęły meble z pokoju, spowiły umarłą w całun, ułożyły ją, zapaliły świece przy łóżku, ustawiły wedle miejscowego obyczaju kropielnicę, gałązkę bukszpanu i krucyfiks, zamknęły okiennice, zasunęły firanki. Następnie przyszedł wikary, aby spędzić noc na modłach wraz z Ludwikiem, który nie chciał opuścić matki. We wtorek odbył się pogrzeb. Stara służąca, dwoje dzieci, którym towarzyszyła wieśniaczka, stanowili jedyny konwój kobiety, której dowcip³², piękność, wdzięk miały europejską sławę i której pogrzeb w Londynie byłby nowiną pompatycznie zaprotokołowaną w dziennikach, arystokratyczną uroczystością, gdyby nie była popełniła najśłodszej ze zbrodni, zbrodni zawsze karanej na ziemi, po to, aby te anioły, uzyskawszy przebaczenie, weszły do nieba. Kiedy rzucono ziemię na trumnę matki, Marian zapłakał, zrozumiawszy w tej chwili, że już jej nie zobaczy.

Prosty drewniany krzyż, zasadzony na grobie, nosił ten napis, ułożony przez proboszcza z Saint-Cyr:

TU LEŻY
KOBIEITA NIESZCZĘŚLIWA
zmarła w trzydziestym szóstym roku,
nosząca imię Augusty w niebie.
Módlcie się za nią!

Kiedy się wszystko skończyło, dzieci wróciły do Granatki i rzuciły na to mieszkanie ostatnie spojrzenie; po czym trzymając się za ręce, zabrały się z Anną, powierzając dom staraniom wieśniaka i polecając mu zdać wszystko urzędnikom.

Wówczas stara służąca zawołała Ludwika do studni, wzięła go na stronę i rzekła:

— Panie Ludwiku, oto obrączka pani!

³¹ze stoma ludwikami, które mi zostaną — ludwik wart był osiem talarów, a talar trzy liwry, każdy o wartości franka (powszechnie tych nazw używało się wymiennie). [przypis edytorski]

³²dowcip (daw.) — inteligencja, bystrość umysłu. [przypis edytorski]

Chłopiec zapłakał, wzruszony, że odnalazł żywe wspomnienie umarłej matki. Zaciąwszy się w poczuciu swej siły, nie pomyślał o tej ostatniej posłudze. Uściskał staruszkę. Następnie ruszyli wszyscy troje zapadłą ścieżką, zeszlizli dróżką i udali się do Tours, nie odwracając głowy.

— Mama chodziła tędy — rzekł Marian, zbliżając się do mostu.

Anna miała starą krewną, dawną szwaczkę osiadłą w Tours przy ulicy de la Guerche. Zaprowadziła dzieci do domu krewniaczki, z którą chciała zamieszkać. Ale Ludwik wytłumaczył jej swoje zamiary, wręczył jej metrykę Mariana i dziesięć tysięcy franków, po czym w towarzystwie starej służącej zaprowadził nazajutrz rano brata do kolegium. Bardzo zwięźle przedstawił rektorowi położenie i wyszedł, odprowadzony przez brata do bramy. Tam udzielił mu najtkliwszych przestroż, tłumacząc mu jego sieroctwo; po czym przyjrząwszy mu się jakiś czas, uściskał go, spojrzawszy nań jeszcze, otarł łzę, i ruszył, odwracając się wiele razy, aby widzieć do ostatniej chwili brata, który stał w progu kolegium.

W miesiąc później Ludwik wstąpił jako majtek na okręt rządowy i wypłynął z Rochefort. Wsparty na parapecie korwety³³ „Iris”, patrzył na wybrzeża Francji, które umykały szybko i gubiły się w błękitnej linii widnokregu. Niebawem znalazł się sam, zgubiony pośród Oceanu, tak jak był w świecie i w życiu.

— Nie trzeba płakać, chłopcze! Jest Bóg dla wszystkich — rzekł stary marynarz głosem szorstkim i pocziwym zarazem.

Chłopiec podziękował spojrzeniem pełnym dumy. Następnie spuścił głowę, godząc się z życiem marynarza. Uczuł się ojcem.

Angoulême, sierpień 1832

³³korweta — niewielki okręt żaglowy. [przypis edytorski]

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-granatka>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, Komedia ludzka, Kuratela ; Facino Cane ; Sarrasine ; Piotr Grasson ; Z. Marcas ; Granatka ; Poronienie, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wyd. Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct S. A., Warszawa [1931].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Łukasza Jachowicza. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Frozen Window, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0063-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).